

NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 35

Katowice, dnia 26-go sierpnia

1928

Niedziela trzynasta po Zielonych Świątkach.

LEKCJA

z listu św. Pawła do Galatów w rozdziale III., w. 16—22

Bracia! Abrahamowi opowiedziane są obietnice, i nasieniu jego. Nie mówi: i nasieniu, jakoby w wielu, ale jako w jednym: i nasieniu twemu, który jest Chrystus. A to powiadam: Testamentu od Boga utwierdzonego: zakon, który po czterechset i trzydziestu lat uczyniony jest, nie wadli ku zepsowaniu obietnicy. Albowiem jeśli z zakonu dziedzictwo, już nie z obietnicy. Lecz Abrahamowi przez obietnicę darował Bóg. Cóż tedy zakon? Postawiony jest dla występków, aby przyszło nasienie, które mu obiecał, rozrządzone przez Aniołów w ręce pośrednika. A pośrednik nie jestci jednego: lecz Bóg jeden jest. Zakon tedy przeciwko obietnicom Bożym? Nie daj Boże! Albowiem gdyby był dan Zakon, któryby mógł ożywiać, prawdziwieby z zakonu była sprawiedliwość. Ale pismo zamknęło wszystko pod grzechem, aby obietnica z wiary Jezusa Chrystusa była dana wierzącym.

EWANGELJA

u św. Łukasza w rozdziale XVII., w 11—19.

W on czas: Gdy Jezus szedł do Jerozolimy, przechodził między Samarią a Galileą. I gdy zbliżał się do pewnej osady, zabiegło Mu drogę dziesięciu mężów, trądem okrytych. Stanęli oni zdaleka, i podnieśli głos, wołając: Jezusie, Mistrzu, zmiłuj się nad nami! A ujrzawszy ich, rzekł im: Idźcie, pokażcie się kapłanom. I stało się, że podczas drogi zostali oczyszczeni. A jeden z nich, widząc, że był uzdrowiony, wrócił się, wielbiąc Boga głosem wielkim, i dzięki czyniąc, padł na oblicze do nóg Jego; — a był to Samarytanin. Jezus zaś odezwał się i rzekł: Czyż nie dziesięciu zostało oczyszczonych? Gdzież więc jest dziewięciu? Żaden więc z nich nie wrócił się, by chwale oddać Bogu, z wyjątkiem tego cudzoziemca? Do niego zaś przemówił: Wstań, idź — wiara twoja uzdrowiła cię!

NAUKA.

Ludzie dni naszych za nic sobie mają grzech nieczysty i tem zwykle się pocieszają, że Pan Bóg w miłosierdziu swoim przebaczy im tę brzydką namiętność, którą świat tak bardzo bierze w swoją obronę, która nawet uniewinnić się stara, kładąc ją na karb już to krewkości, już też zbytku czułości serca ludzkiego. Nie będę tu sporu zawodził z tymi apostołami cielesności, boby to do niczego nie doprowadziło; owszem okaże wam niezbitemi dowodami, samemi wypadkami, jakie zaszyły na tej ziemi, całą mylność podobnego twierdzenia. Tym końcem przejdźmy sobie dzieje wszystkich czasów i narodów i zasięgnijmy także zdania Pisma św., a z pewnością struchlejecie na samo wspomnienie tych kar, jakie spotkały tych, co się tej brzydkiej oddali namiętności.

Nie masz zaprawdę większej klęski, nie masz straszliwszej kary, jaka spotkała grzeszny ród ludzki nad potop, który całą ziemię zalał i jedną tylko rodzinę Noego przy życiu zostawił; nad ten potop, którego ani niedowiarstwo, ani bezbożność zaprzeczyć nie może, o którym również Pismo św. wspomina, jak mówią podania wszystkich ludów na ziemi, który sam niezatarceni głoskami wyrzył się na całej powierzchni ziemi naszej. Idźcie na najwyższe góry, zstąpcie w najgłębsze doliny, a wszędzie zobaczycie ślad i skutek tego potopu i przekonacie się o prawdzie podania Mojżeszowego: że woda wznosiła się wówczas ponad najwyższe góry. A co było przyczyną tego wypadku? Co spowodowało Pana, tego tak łaskawego i dobrotliwego Ojca, iż się tak bardzo zagniewał na swoje stworzenia i tak straszliwą wymierzył im karę? Nie co innego, Najmilsi! tylko grzech nieczystości, o którym mówię. W Piśmie św. czytamy: że wszystko ciało popsowało drogę swoją. Synowie Boży dali się uwieść i poszli drogą zepsutego serca swojego. To, a nie co innego spowodowało Boga, że zesłał potop i zagładził ród ludzki z wyjątkiem samego Noego i jego synów, którzy jeszcze w czystości serca postępowali przed obliczem Pana.

Po potopie złagodził Pan gniew i oburzenie i już zanosilo się na lepsze czasy na tym padole płaczu. Lecz niestety! znów trzeba było, aby jeden z synów Noego naśmiewał się z obnażonego ojca swojego i tak zgrzeszył lubieżnym spojrzeniem. Wprawdzie Sem i Jafet skarcili zaraz za nieczyny postępek brata swego Chama; lecz dla tego jeszcze Bóg nie przepuścił tak łatwo winowajcy. I coż się stało? Oto na pozór mały grzech lubieżnego tylko spojrzenia stał się jakoby drugim grzechem pierworodnym i ściągnął jak najdotkliwszą karę na potomków Chama; podczas gdy znów wstydlivość i przyzwitoły postępek dwóch jego braci odebrał nagrodę niewystawioną. Pan Bóg błogosławił Semowi i Jafetowi i tem okazał, że szczerze nagradza cnotę czystości i wstydlivości, a przeklął Chama, dając nam uczuć, że obrzydliwością jest w oczach Jego — zasługująca na srogą karę — każde, chociażby najmniejsze przewinienie przeciw anielskiej cnotcie czystości. Ledwo co się Noe przebudził, aliści dowiedziawszy się, co się stało, pełen powagi podniósł się i Duchem św. natchniony te pamiętne wyrzekł słowa: „Błogosławiony Pan Bóg Semów, niech Chanaan niewolnikiem jego będzie“. Kilka tych słów wypowiedział Noe, a jednak ileż w nich i jak wielkie mieszczą się obietnice! Błogosławione niech będzie pokolenie Sema, z którego się narodzi przyszły Mesjasz, dawca wszelkiego błogosławieństwa! I rzeczywiście, Najmilsi! Sem jest praojcem Abrahama, a Abraham praojcem Dawida, z którego pokolenia narodził się Chrystus i w tem mieści się cała nagroda i łaska, jakiej doznał ten syn cnotliwy.

A coż mam powiedzieć o owych miastach, których wspomnienie z powodu zepsutych obyczajów ich mieszkańców, jeszcze po dziś dzień wstręt obudza i obrzydzenie we wszystkich? Coż powiem o Sodomie i Go-

morze, których rozpusta i wszelkie pojęcie ludzkie przechodząca rozwiolność stała się przyczyną, iż Pan w słusznym gniewie i oburzeniu swoim odwrócił od nich oblicze swoje, i spuścił na nie z nieba ogień siarczysty, który nie tylko w popiół i perzynę je zamienił, ale nawet ziemię, na której stały, zapalił, tak, iż ziemia ta zapadła się, a w tem miejscu, gdzie dawniej najrozkoszniejsza i najżyźniejsza była okolica, opływająca w najwyborniejsze owoce i płody ziemi, utworzyło się morze martwe, dziś jeszcze tak zjadliwe wydające z siebie wiewy, iż żaden ptak nie poważy się z jednego jego brzegu przelecieć na drugi! Ach! Najmils! jest to najwymowniejszy dowód, wszystkim najpóźniejszym nawet pokoleniom służyć mogący za przestrożę, że Pan brzydzi się, chłoczność, karze surowo wszelką cielesność, jako przeciwną cnotcie czystości, której się od nas domaga.

Mógłbym wam wiele jeszcze takich wypadków z Pisma św. przytoczyć, aby was przekonać, że Pan Bóg karał zawsze w sposób surowy ludzi za ich grzechy cielesności; lecz by rzeczy nie przewrócić, pomnę to wszystko, a wspomnę wam tylko o tej chłoczności, jaka spotkała Dawida za jego cudzołóstwo. Wprawdzie, skoro Dawid uznał grzech swój i zaczął pokutować, odpuścił mu Pan Bóg takowy w miłosierdziu swoim; lecz dlatego jeszcze nie zwolnił go bynajmniej od kary, na jaką sobie zasłużył. „Przełoż nie odejdzie miecz z domu twego aż na wieki; czytamy w piśmie św.“ „żony twoje będą zbeszczeszczone w obliczu słońca, wzbudzę na cię złe z domu twego, tak iż będziesz musiał uciekać i kryć się przed własnymi dziećmi i smutne i opłakane spędzać dni życia twojego! I jak Pan rzekł, tak się stało: Dawid nie zażył szczęścia, ani pokoju na ziemi; patrzeć musiał na kłótnie, swary, na kazirodztwo, na rokosz, na krwawe i ohydne sprawy własnych dzieci swoich i na niemałe kłeski, jakie przez grzech ten swój ściągnął na lud żydowski.

Uznajcie więc, Najmils! że Pan Bóg w najrozmaitszy sposób karze człowieka, gdy tenże poważy się przestąpić święty jego zakon; gdy zapomina, co winien Bogu, sobie i bliźnim i gdy w szale zmysłowości puszcza się drogą rozpusty i zepsucia. Amen.

Św. Bartłomiej.

W upalny, jasny dzień, w cieniu drzewa figowego siedział rybak. Strudzony pracą, spoczywał — mógł nie myśleć, jeno oddać się zupełnie bezmyślnemu wytchnieniu po pracy, jednak serce jego, czułe na nędzę współbraci, rwało się do nieba, prosząc o łaskę zesłania Mesjasza — Zbawiciela.

Mesjasza, któryby odbudował świąt, Izraelitom dał władzę i siłę, wywiódłszy ich z rzymskiej niewoli. Jakiego rodzaju była ta niewola — rybak nie wiedział, zdawało mu się, że gdyby rzymianie wyszli z Ziemi świętej, gdyby żydzi odzyskali napowrót swą wolność — staliby się panami świata.

Tak myślał — tylko serce proste, niespaczone, dalekie od faryzejskiej obłudności mówiło cicho:

— Nie ludź się. Siła zbrojna nie zapewni wam potęgi, a bogactwo — szczęścia. Wyzbądźcie się grzechów, a wtedy będzie mieszkał z wami — Bóg.

Rybak — Natanach, zasłuchał się w szept własnego serca. Siedział cicho w cieniu figowego drzewa, nie widząc, że zdąży ku niemu — przyjaciel.

„Natanach! — rzekł Filip, a twarz jego pałała radością, wzrok — zda — rozrzucił promienie, bo nawet zadumana twarz siedzącego rozjaśniła się —

„nareszcie znalazł się Ten, o którym mówił Mojżesz i pisali prorocy“.

— „Jezus, syn Józefa, z Nazaretu“, kończył Filip, jak wszyscy nieświadomy o dziewictwie Marji.

Natanach spojrział niedowierzająco, lecz jak gdyby zarażony promienną radością przyjaciela uśmiechnął się.

— „Alboż z Nazaretu mogło wyjść coś dobrego?“ — zażartował, dając bezwiednie wyraz pogardzie z jaką żydzi odnosili się do Nazaretu.

Filip chwycił go za rękę.

— „Pójdź i przeświadc się“ — zawołał, pełen radosnej pewności.

Poszli — i niedługo znaleźli się przed Chrystusem, otoczonym gronem uczniów. Jezus spojrział na Natanacha i jakby stwierdzając to, o czem myślał przed chwilą, rzekł, zwracając się do uczniów:

— „Oto szczerzy izraelita, bez fałszu i przebiegłości!“

— „Panie“ — spytał Natanach — „skąd mnie znasz?“

Chrystus zapuścił w oczy rybaka wszechwiedzący, mądry, a łagodny wzrok, jakby chcąc mu dać do zrozumienia, że zna jego najtajniejsze nawet myśli i odpowiedział:

— „Zanim Filip cię zawołał, spoczywającego pod drzewem figowym — widziałem cię“.

Pod Natanaelem zadrżały kolana. Nikt tam nie był, nikt nie widział jego ni Filipa, więc...

— „Rabbi — rzekł, jak zwykł — szczerze, prosto — jesteś synem Bożym, królem Izraela“.

Chrystus spojrział na niego z miłością.

— „Iżem ci powiedział — widziałem cię pod drzewem figowym — wierzysz; większe nad tę ujrzysz“.

(Jan 1. 50).

Ujrzał Bartłomiej, (Bar — Tholomaj, syn Tholomaj) ten dawny Natanael, rzeczy wielkie: chwałę i męki Jezusa, widział i Zmartwychwstanie, Zesłanie Ducha św. i Wniebowstąpienie. Widział potem, nawracając pogan w Indjach Frygji i wielkiej Armenji cuda wiary Chrystusowej, miłości ku Niemu. Sercem czystym „bez fałszu i przebiegłości“ przyłgnął do Jezusa i życie oddał za Niego.

A było to tak:

W Albonopolu (miasto w Armenji) Bartłomiej zdziałał wiele cudów i uzdrowień. Wieść o tem dobiegła do króla Polynjusza, mającego chorą opętaną córkę. Zaprosił więc Bartłomieja do siebie — ten przybył i krótką modlitwą uzdrowił nieszczęsną.

Uszczęśliwiony monarcha ofiarował mu zato niezmiernie bogactwo. Święty Bartłomiej nie przyjął ich, lecz zachęcał króla do przyjęcia chrześcijaństwa.

Rzekł mu więc:

— Na dowód, że wasze bożyszcza są szatanami i martwymi posągami, pójdziemy do świątyni, a ja zmuszę szatana, aby sam utwierdził, że mówię prawdę. Zgodzono się na to, więc poszli: król, dworzanie, tłum ludu i św. Bartłomiej.

Apostoł stanął przed posągiem bogini Astaroth.

— W Imię Jezusa — rzekł — rozkazuję ci: powiedz mi, kim jesteś.

Wśród strasznego wycia „bogini“ zeznała:

— Szatanem.

— Więc nie Bogiem?

— Nie — jeden tylko jest Bóg: Ten, którego ty wynajasz.

— Zdrzgotać mi natychmiast bałwany, znajdujące się w mieście.

W jednej chwili we wszystkich świątyniach roz-

legł się trzask łamanych posągów, które, padając, rozbijały się w drobne kawałki. W następstwie tego cudu król, wraz z dworem przyjął chrześcijaństwo.

Szatan pragnął zemścić się — namówił więc, zazdrosnych o swą władzę pogańskich kapłanów i Astyagesa, brata królewskiego... Ten, udając, że pragnie poznać wiarę św., zaprosił Bartłomieja do siebie. Święty poszedł, a gdy stanął przed Astyagesem, ten zażądał, aby w tejże chwili św. Bartłomiej pokłonił się bożkom, lub gotował się na śmierć.

Święty wybrał to ostatnie.

— Jeden jest Bóg, ten którego chwale. Jemu służąc, nie pokłonię się twoim bałwanom — opowiedział możnowładcy.

Astyages kazał drzeć go ze skóry, a wtedy — jak głosi podanie — św. Bartłomiej, ciesząc się z swych mąk, poraniony, cały krwawy, głosił chwałę Boga.

Brat króla kazał go ściąć. Wyrok wykonano. Było to około 71 roku po Narodzeniu Chrystusa.

Spokój Albonopolu został zakłócony.

Ulice, pałace i ogrody Astyagesa i jego służalców — pogańskich kapłanów rozbrzmiewały straszonym wyciem ludzi opętanych. Przekleństwa, złorzeczenia, lub naprzemian — obłąkany, potępińczy — śmiech mroził krew w żyłach mieszkańców Albonopolu.

Trwało to przez dni 30-ści a potem — ucichło. Do krzyża, który nauczyć czcić św. Bartłomieja, cisnęły się tłumy ludu, opustoszały pogańskie świątynie, nikt nie stał na straży bałwanów.

Któż to był i miał się w owe dni i noce? Kto rozpaczał, lub chychotał w Albonopolu?

Któżby inny, jeśli nie ci — mordercy Apostoła — Astyages i jego kapłani!

Szatan opętał ich i przez dni 30 męczyli się aż skonali nędźnie, w opuszczeniu. Bóg skarał ich za zabójstwo św. Bartłomieja, męża „bez fałszu i przebiegłości“.

Jak się odbyła pierwsza koronacja Cudownego Obrazu Matki Boskiej na Jasnej Górze dnia 8-go września 1717 roku.

Duszą zakonu Paulinów w Polsce był w 18 wieku ks. Konstanty Moszyński. Po kilka razy wybierany na prowincjała, czyli przełożonego nad wszystkimi klasztorami w Polsce. Pod jego wpływem wzrosły cnoty zakonne, a praca i pobożność zjednała im serca wszystkich.

Niemalą przyczyniła się do tego koronacja Cudownego Obrazu z wielką uroczystością i staraniem ks. Moszyńskiego dokonana. Od tej koronacji zdwoiły się i cześć Obrazu i pielgrzymki na Jasną Górę i znaczenie Paulinów.

Pierwszą myśl koronacji poddał Benedykt Odeskalski, poseł papieski przy królu polskim. Skończywszy swój urząd, powołany na kardynała i arcybiskupa Medjolanu, czekał na Jasnej Górze swego następcy. Często modlił się przed cudownym obrazem i obiecał Paulinom postarać się o jego koronację.

Dotrzymał przyrzeczenia i wyjednał dekret na udzielenie złotych koron dla Obrazu Matki Boskiej, pierwszy raz dany dla obcego kraju. Nuncjusz papieski w Polsce arcybiskup Grimaldi, otrzymał rozkaz koronowania. Zajęty jednak przy boku króla w Saksoni ważnymi sprawami, przyjechać nie mógł, i delegował czyli

wyznaczył do spełnienia tej czynności Krysztofa Szembeka, biskupa chełmińskiego.

Po wszystkich diecezjach z ambon ogłoszono ten akt koronacyjny na dzień 8 września 1717 roku, a na Jasnej Górze, robiono wielkie przygotowania do tej uroczystości, aby jak najświetniej wypadła. — Zamówiono słynnych kaznodziejów, wzniesiono bramy triumfalne i przyrządzono mnóstwo sztucznych ogni. W wigilję uroczystości biskup, który miał koronować, w otoczeniu duchowieństwa, magnatów i senatorów i niezliczonych tłumów ludu, przyniósł w uroczystej procesji z Częstochowy korony ozdobione drogimi kamieniami do klasztoru. Nazajutrz przyniesiono je przed wielki ołtarz, na którym umieszczony był Obraz Cudowny. Po odmówieniu przepisanych modłów biskup włożył korony przy dźwiękach muzyki klasztornej i strzałach armat fortecznych.

Odśpiewano pacierze kapłańskie a biskup odprawił uroczystą sumę. Po niesporach biskup przeniósł w otoczeniu duchowieństwa Obraz ukoronowany do kaplicy, gdzie odśpiewano na podziękowanie Panu Bogu hymn: Ciebie Boga chwalimy. Nabożeństwa uroczyste trwały cały dzień. Odprawiano je w wielkim kościele i w kaplicy, a Msze św. odprawiały się po wszystkich kościołach miasta, nawet pod namiotami.

Jaki był napływ ludu i duchowieństwa wnosić możemy z opowiadań kroniki klasztornej, która podaje, że na samej Jasnej Górze wydano 148 300 komunikantów, a w dzień koronacji odprawiono 534 Mszy św., w ciągu tygodnia 3252.

Oprócz biskupa Szembeka było razem 10 biskupów, Opatów i infułatów przy pierwszej koronacji.

Przygoda generała Millera podczas oblężenia Jasnej Góry przez Szwedów.

Generał Miller szybko kończył odprawę oficerską, Czekala go pilna korespondencja. Bez uwagi wysłuchał ostatniego raportu, skinął głową na pożegnanie oficerom i usiadł natychmiast przy stole.

Przerzucił otrzymane rozkazy, listy, i nagle opuściła go energia.

Niechętnie, z ociąganiem, zabrał się do pisania. Nie szło mu.

Klął gęsie pióro, opornie chodzące po chropowatym papierze, rzucał złe spojrzenia migocącym świecom. Wreszcie odłożył pióro, zerwał się i szybkimi krokami zaczął przebiegać izbę.

Po raz dziesiąty musiał pisać to samo, tłumaczyć się, wykręcać, prosić, przedkładać i obiecywać, że jutro, pojutrze, klasztor padnie, podda się.

Tymczasem Jasna Góra stała mocno i grzmiała... Generał zatrzymał się przy oknie. Nad ziemią wisiła wilgotna, ciemna i głucha noc.

Klasztoru nie mógł dostrzec, pochłonęły go mroki.

Generał usiadł przy oknie, okrył się szczelnie futrem i wgiął się w miękki fotel.

W oddali wykwił nagle czerwony kwiat ognia i zgasł natychmiast, a równocześnie głuchy łomot — wstrząsnął powietrzem i w tejże chwili gdzieś w pobliżu generalskiej kwatery jęknęły pod uderzeniem armatniego pocisku jakieś belki, a grudy ziemi uderzyły o ściany millerowskiego domu.

Generał poruszył się, nie cierpiał tej nocnej strzelaniny klasztoru. Wbrew wszelkim obliczeniom, kule trafiały tam, gdzie się ich nikt nie spodziewał, jakby

dalekonośność dział zależała jedynie od woli obrońców!

Miller uważnie wpatrywał się w ciemności, oczekując dalszej kanonady. Tam, gdzie stał klasztor, rysować się zaczęły matowe, regularne i wysmukłe linie światła.

— Zapalają świece w kościele — skonstatował Miller i ułożył się wygodniej. Ogarnęła go nieprzewyciężona senność.

Niechętnie, niemal nienawistnie spojrzął jeszcze na leżące na stole papiery, odwrócił głowę i zasnął. O jakiejś godzinie nocnej obudził się nagle, miał wrażenie, że ktoś uderzył go w ramię i szarpnął.

W izbie było niemal zupełnie ciemno, ostatnie świece dogorywały w wieloramiennym świeczniku.

Miller odrzucił futro, podniósł się szybko, klasnął w dłoń i wyczekująco spoglądał na drzwi.

Odpowiedział mu tylko syk gasnących świec.

— Służbowy do mnie!

Generała niemile uderzył chrapliwy ton własnego jego głosu.

Poomacku ruszył ku drzwiom, gdy w tem zamarł, znieruchomiał.

Przerażenie przesunęło mu swą lodowatą dłoń po plecach, położyło ją na czaszce i zjeżyło włosy.

Miller poczuł tuż obok siebie, na odległości ręki czyjąś obecność. Nie słyszał żadnego szmeru, oddechu, a jednak nie miał najmniejszej wątpliwości, tam o krok, dość wyciągnąć rękę, stoi...

— Kto tu? — wyszeptał.

Wicher uderzył w drewniane ściany kwatery, szarpnął okiennicą, falą zimnego, wilgotnego oddechu, wdarł się do izby.

— Ktoś ty?! !

— Przczysta Panna... porodziła Syna...

Wyraźnie, choć urywane, jakby skandowane słowa pieśni niósł wicher od klasztoru i tonami organów wypełnił generalską izbicę i odpłynął.

Znowu cisza...

— Jest bliżej — uświadomił sobie Miller, drżącymi ustami zaczął mamrotać słowa psalmu i urwał.

Zdało mu się, że słyszy głos; tak istotnie, choć nie może zdać sobie sprawy, czy ktoś mówi do niego, czy też czyjeś myśli bezpośrednio wnikają mu do mózgu, wrażliwość się weń wyraziście nieodparcie.

Miller uczuł, jak pryska jego wola, jak wszystko w nim załamuje się, rozplywa, topnieje, jak wyrastać poczynają myśli nowe, jak nim owładają, gną go.

Znowu wicher falą pieśni i muzyki organów uderzył w ściany.

Te ludzkie realne odgłosy przyniosły generałowi ulgę.

— Ktoś ty? — powtórzył mocnym głosem i śmiało spojrzął w ciemność.

W obozie szwedzkim zagrała trąbka alarmowa. Kwatery generała stała w płomieniach.

Książę Heski wpadł pierwszy raz do izby. Miller leżał w pobliżu drzwi nieruchomy, błądy. Książę badawczo rewidował wzrokiem izbę. — Stwierdził bowiem już przed paroma tygodniami, że generał nocne godziny trawi na samotnym pijaństwie.

Ale tym razem, nie znalazł żadnych śladów. Z pomocą żołnierzy wyniósł Millera, złożył go na noszach i rzucił żołnierzom krótki rozkaz.

W namiocie księcia, wokół generalskiego łóżka skupili się oficerowie. Miller leżał bez ruchu.

Medyk stwierdził, że generał żyje, ale wobec jego omdlenia był bezsilny.

Niespodzianie generał otworzył oczy i nie patrząc na oficerów, podniósł się z łóżka.

— Panie generale — zaczął książę — lecz Miller ruchem ręki nakazał mu milczenie.

Wyprostował się:

— Scignąc działa z pozycji, zwinąć namioty. Książę ruszy w tej chwili do Krakowa, Wrzeszczewicz do Wielunia, reszta pomaszkuje ze mną na Piotrków!

— Więc odwrót! — przerwali Millerowi oficerowie.

Generał rzucił im niechętnie spojrzenie.

— Tak, odwrót!

— Nagły rozkaz króla? — indagował książę Heski. Miller milczał.

— Kurjer z Krakowa? — pytał dalej książę.

— Nie odburknął Miller.

— A więc decyzja pana generała.

— Nie.

Na twarzach oficerów odbiło się zdumienie.

— Odsiecz nadciąga?

— Skąd? — zaczęły padać z tłumy niecierpliwe pytania.

— Nie odsiecz — odpowiadał, jakby z uporem, i trudnością Miller.

Książę Heski uśmiechnął się pogardliwie i porozumiewawczo spojrzął na wyższych oficerów, skupionych wokół niego. Był pewny, że Miller jest pijany.

Ale generał zmierzył go przytomnym, mocnym spojrzeniem i wskazał ręką na klasztor.

— Rozkaz odwrotu — zaczął mówić urywanie, ciężko — otrzymałem od Niej, widziałem ją...

— Kogo? — wyszeptał książę.

— Ja.. Panią, Królowę, Marię — stłumionym głosem odpowiedział Miller.

Wrzeszczewicz zbladł, jak płótno.

— Przczysta Panna... porodziła Syna — skandował wicher, łomocąc skrzydłem namiotu.

— Wrzeszczewicz — podjął Miller — Pokacy, służący przy nas, muszą mieć jej konterfekt, wizerunek; przynieść go!

Wrzeszczewicz wyszedł.

W pół godziny potem wrócił z oficerem pancernych chorągwi polskiej.

— Masz?

— Tak jest, wasza miłość...

— Pokaż?

Szlachcic z podełba spojrzął na Millera.

— Nie lękaj się, widziałem ją tej nocy, chcę porównać.

Pancerny podał generałowi na blasze malowany, małych rozmiarów wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej.

Miller wziął pod światło.

— Nie — nie jest podobny do owej dziewicy, która mi się ukazała, — bo nie podobną rzeczą jest widzieć na ziemi równą. Coś niebieskiego i boskiego jaśniało na Jej królewskim obliczu (autentyczne słowa generała Millera) mówił szeptem Miller.

Pancerny ukląkł.

— Ave Maria — powtórzył za nim Wrzeszczewicz.

— Gratias plena (łaski pełna) — westchnął Miller.

Za ścianą namiotu dzwoniły kopyta końskie.

To gońcy spieszyli do poszczególnych oddziałów z rozkazem odwrotu.